

Bruno Kadya

# Dyniak

– Jak można wywalać gnój w klapkach? – pytam tego wieśniaka.

Nie odpowiada, szczerzy się tylko i robi wykrok, a bosa stopa tkwiąca w piankowym damskim klapku wciska się w łajno. Maciek nadziewa na widły kolejną porcję gówna, a ja mówię:

– Matka cię nie zabije, że wzięłeś jej klapki?

Rozmiar 38, a w nich brudne grube giry w rozmiarze 45.

– Nie mieszczą ci się pięty, stoisz na gównie – dodaję.

– Ona już ich dawno nie nosi.

Patrzę, jak ładuje taczkę. Trafiłem na jeden z nielicznych momentów w ciągu dnia, kiedy to ja gadam, a nie on.

– Nie boisz się, że jakiś syf ci wlezie? Wystarczy, że przyszczypniesz skórę przy obcinaniu pazurów i już ci to gówno biedy narobi – mówię.

Nie wspominam o walorach estetycznych, nie ma sensu.

– Yyy hy, hy, nie narobi mi. Obcinam tylko wtedy jak już wystaje.

– Ja pierdzielę, raczej jak zawija do podłogi.

– No co? Zawsze tak gnój wywalam, co se będę nogi w gumiakach parzył, jak jest ciepło?

– No tak.

– Jedziesz. – Uklepuje widłami kupę.

Chwytam rączki, prostuję się i wyjeżdżam ze stajni taczką pełną gówna. Na dróżce z betonowych kafli nabieram rozpędu i wjeżdżam na deskę, w górę na szczyt wzgórza z łajna. Wywalam taczkę na prawe zbocze.

Prostuję się, muszę odsapnąć. Piękny wiosenny dzień. Słońce grzeje, ptaki pitolą, jaskółki śmigają. Wiatr szumi na szczycie prawdziwego wzgórza za mną, a nad lasem pojawia się co jakiś czas drapieżny ptak. Teściu mówi, że dwa orły mają niedaleko gniazdo.

I cisza, miasta brak. I dobrze.

Głęboki wdech, rączki w dłoń i śmigam po kolejną porcję gówna.

Dyniaka chyba zmęczyło moje gadanie, bo teraz nie zamyka mu się jadaczka. Opowiada jakieś pierdoły o ludziach, których nie znam, poruszając nieistotne wątki nie mające ze sobą związku. Naparza jadaczką, jak karabinem, bo ma dużo słów do wypowiedzenia.

Kiedy podstawiam taczkę do ładowania i stajemy naprzeciw siebie, mam możliwość wtrącić słowo:

– Musisz się nagadać, a akcja idzie wolno.

– Co?

Staram się mówić wyraźnie.

– Mniej słów, to szybciej ci pójdzie opowieść. Mów tylko to, co jest ważne w

historii. Olej to, co dokoła.

– Co?

Patrzę chwilę w ten poczciwy, zgrzany ryj. Faktycznie ma ten łeb okrągły jak dynia. Proste blond włosy wyglądają jak liście albo szypułka, czy co tam ma dynia.

– Jak tak z tobą poprzebywam, to widzę, ile ty masz wspólnego ze swoją siostrą.

– Z Magdą? – pyta.

– Nie, z Iwoną. Która jest moją żoną?

– Hy, hy, Magda.

Jadę z gównem.

Wracam i parkuję. Ja jeżdżę, on ładuje. Uważam, że wożenie jest lżejsze od ładowania, mimo że gówno na taczce sięga mi do wysokości sutków i trochę waży. Oczywiście też śmierdzi i paruje.

Nie ma to jak świeże wiejskie powietrze.

Na moje oko trzeba ze stu taczek, żeby wywalić gówno do zera z dwóch klatek, które mamy zrobić.

Przynajmniej raz w miesiącu spędzam tak sobotę u teściów. Lubię nawet. Fajnie wyrwać się z codziennego kołowrotka do zupełnie innej rzeczywistości. Ale na maksymalnie trzy godziny. Każda kolejna to narastające zmęczenie i żal uciekającej soboty. A teraz siedzimy tu cały czas przez koronawirusa i codziennie jestem w stajni, rąbię drewno albo robię coś innego. Ciężkie życie.

Parkuję pustą taczką i znów patrzę na jego stopy.

– Giry masz jak hobbit – mówię.

– Jak kto?

– Hobity z Władcy pierścieni. Nie oglądałeś tego filmu? Bo o książkę cię nie podejrzewam.

– Nie znam. A co to, o elfach coś tam?

– No, to.

– Ja nie lubię fantastyki.

No nie musi.

– Dlaczego? – pytam.

– Takie bajki. Ja nie lubię takich nieprawdziwych rzeczy.

– Identycznie jak Magda. Nawet takich samych słów użyła – mówię.

Wyobrażam sobie jej reakcję, gdyby usłyszała te porównania. Dla niej i Iwony Dyniasty jest niedorozwinięty.

Ostatnio wsiadł do samochodu, odpalił silnik i kiedy na ulicę wyszły siostry, zaczął dodawać gazu, drzeć mordę i szczyrzyć kły:

– Brrrum brrrumm brrrruummm!

– No kretyn – powiedziała Magda do Iwony. – Piętnastoletni kretyn.

Cieężko określić miłość siostr do brata.

Porównania surowo zabronione!

– Ty! – Dyniasty zaczyna kolejną opowieść. – Wiesz, że nam się oźrebiła Szczabcia i odrzuciła źrebaka?

– Jak odrzuciła?

– Normalnie odrzuciła, przestała go karmić, kopała go, tłukła. A druga kobyła się oźrebiła w tym samym czasie i bez żadnego „ale” przyjęła i wychowała dwa źrebaki.

Skończył ładować i wygiął plecy mocno do tyłu, wylazł mu bęben spod koszulki. Oparł się o widły i wyciągnął z kieszeni paczkę ruskich papierochów, wsunął jednego do ust i mówi dalej:

– Ona jest taka, że jak by inna nie chciała karmić, to bez problemu wychowa. Ile byś jej źrebaków nie podłączył, stanie i nie będzie kopać, tylko będzie karmić. Jedziesz bigos wywieźć?

Jadę.

Czasami w tych potokach myślowych Dyniastego znajdzie się coś ciekawego, nawet niesamowitego. Przynajmniej dla mieszczucha. Kogoś przejechał traktor, na kogoś coś spadło i go połamało, coś się spaliło. Najczęściej, opowiada, co odpieprzyły zwierzęta. Przy tym Dyniasty wygląda osobliwie i lubię na niego patrzeć.

Wracam z taczka i widzę, jak buja się przez stajnię w stronę wyjścia po drugiej stronie.

– Ty, Leser, wracaj tutaj! Ja mam w dupie sam tu zasuwac!

Wraca, bierze widły i ładuje. Nic nie mówi. Jak nie on. Cwaniaczek. Już kombinuje, żeby mnie zostawić, wymyślić jakąś inną pilną robotę. I jest w trakcie procesu myślowego, widzę po jego twarzy.

– Dyniak, zasańcu, tylko spróbuj mi stąd spieprzyć. Razem robimy.

– Jedziesz – mówi, uklepując wierzchołek.

Jadę. Już mam na dziś dość tego gówna. Rozpędzam taczka, żeby mniej się męczyć pod górę. Pcham i próbuję wyczuć koło na mokrej desce. Najgorzej szarpać się ze stu pięćdziesięciokilową taczka, kiedy spadnie z toru. Szczególnie w miejscu, gdzie gnój przypomina mokrą glinę i zasysa gumiaczki. Kilka razy stopa mi wyskoczyła z kalosza, straciłem równowagę i musiałem stanąć skarpetą w tę „glinę”.

Odwracam taczka i wracam, nie mogę się grzebać, bo ten śmierdziel wykorzysta okazję i da dyla.

Podstawiam się do ładowania, a ten się wygłupia.

– A może balet? – pyta.

Jedną dłoń trzyma uniesioną i sflaczała jak księżniczka, a prawą stopą ze ściągniętymi palcami zatacza półkole, jakby pokazywał coś na podłodze.

– Raz, dwa, trzy, tup, tup, tup.

– Dawaj, zwiewny motylku, ładuj – mówię.

– Hy, hy, hy.

Ułom, słowo daję. Chciałbym już jak najszybciej skończyć to wywalanie.

– Wieziesz bigos. – Uklepuje wierzchołek.

Jadę, pcham i balansuję. Nie spadam. Rozładowuję i wracam. Maciek znowu zapala papierosa i zaczyna opowiadać.

– Był tu kiedyś taki Zenek, któremu wszystko się pieprzyło po tym, jak dostał w łeb od konia. Nachylił się po coś za ogierem i jak ten mu wysunął, to mu czaszka pękła. I tak miał farta, że go zwierzak nie zabił. I potem wszystko mu się myliło. Chodził po wsi i pytał o różne rzeczy. Do nas przychodził często. Pytał kiedyś mamę, czy nie wie, gdzie jest jego mleko z lodówki.

– Ładuj – popędzam.

Często, kiedy tak pierdzieli, przestaje ładować albo zwalnia. Jak mnie to wkurza, bo po to tu jesteście, żeby szybko zrobić i stąd pójść.

– Jedziesz! – Klepnął widłami w łajno, jak klacz w zad.

Jadę i wracam zasapany. I tak jeszcze kilkadziesiąt razy.

Ze stajni do domu jest ponad kilometr. Człapię turbo-zmęczony i śmierdzący końskim odbytem z bliska. Chciałbym już usiąść i coś zjeść. Najpierw prysznic, potem żarełko. Ciekawe, co dziewczyny przygotowały? Pewnie ziemniaczki i jakieś mięso. Może kotlety.

Dyniak został na stajni pozamykać i coś tam jeszcze zrobić. Poradzi sobie.

Ściągam gumki na podwórku i wchodzę do domu. Pachnie obiadem.

– Ale od ciebie wali – wita mnie w kuchni Magda.

– Co na obiad?

– Rosół i schabowe.

– I buraczki?

– I mizeria.

Taki jestem głodny, że zaraz zemdleję.

– Wykap się szybko i chodź – mówi Magda.

Z kibla wychodzi teściowa i pyta:

– I co, zięciu, może być taki obiadek?

– Mamusia, twój rosółek... – szukam słów niczym poeta – to jest mistrzostwo świata, poezja, dzieło sztuki, czysta podnieta, to jest rosółek doskonały!

– Rozpływam się jak Włoch nad makaronem.

Teściowa też się rozplywa, uwiedziona zachwytem.

Mijam rozanieloną kobietę i znikam w łazience.

Jemy obiad przy stole w jadalni, jest gwarnie i wesoło. Teściu z teściową, trójka ich dzieci i zięć. Matka z ojcem naprzeciw siebie. Ich najstarsza córka, Magda, czyli moja żona, siedzi obok teściowej, jej rok młodsza siostra, Iwona, kokosi się obok

teścia. Ja u szczytu stołu po drugiej stronie, mam na oku wszystkich. Najmłodszy, Dyniasty, siedzi obok Magdy, jak zawsze niedomyty i głupkowaty.

Ile on ma lat?

– Dyniś, ile ty masz lat? – pytam.

– Dwadzieścia sześć.

Ale ten czas leci. Jak ich poznałem, miał szesnaście.

I tak wspólnie jemy. Ostatnio pierwsze lecą newsy o pandemii. Zazwyczaj dużo się śmiejemy, pokrzykujemy i przekrzykujemy nawzajem. Krążą komórki z filmikami, śmiechy, chichy. Czasami się pokłócimy.

Obserwuję Dyniastego. Nie odzywa się raczej, najczęściej coś krzyknie, wybuchnie śmiechem i pokaże żarcie w gębie.

Patrzę na niego i wpadam na pomysł.

A może on udaje?

Jakby spojrzeć z tej strony, widzę w jego sposobie wyrazu pewne schematy. Jadaczka mu się nie zamyka, bo chyba lubi gadać, sam dla siebie albo żeby się popisać. Ale czasami mam wrażenie, że zachowuje się jak głupek celowo, jakby odgrywał rolę głupka. Wyćwiczył ją i wszystkich przekonał.

Wszystko przez to, że on jest taki abstrakcyjny. Ojciec jedzie z nim jak z główniarzem. Nie dziwię się, też bym jechał, jak by mi zostawiał na środku drogi otwartą skrzynkę z narzędziami i gdzieś sobie uciekał. Albo akumulator z kablami. Za każdym razem, jak coś weźmie, nie odłoży na miejsce, tylko zostawi tam, gdzie korzystał. Nieważne, czy słońce czy deszcz, podjazd czy środek drogi. Ojca szlag trafia, wydziera się na niego i wyzywa od debili, ale to nic nie daje.

Po co udawać, żeby to znosić?

W tych rozważaniach, nie zauważyłem, że Maciek wstał i poszedł do pokoju za moimi plecami. Wracając zatrzymuje się za mną, pstryka w ucho i szczyrzy japę.

On jest opóźniony.

– Pójdiesz, durniu? – Obracam się i próbuję go przegonić.

Jest irytujący, bo nie potrafi przestać. Zlewka nie pomaga. Będzie stał i pstrykał w ucho, aż szlag człowieka trafi.

Jest na to chyba jakaś fachowa nazwa.

Dyniak kąpie się wieczorem drugi raz. Widziałem, jak zniknął w pokoju, wycierał włosy. A w łazience pełno pary. Wcześniej kąpał się do obiadu. Musi się domyc do roboty w stajni?

Mam wrażenie, że czekał, aż wszyscy będą czymś zajęci i o nim zapomną, a przez jego sposób bycia robią to chętnie.

Ubiera się i wychodzi obrządzić konie. Zazwyczaj nie ma go kupę czasu. Godzinę, dwie. Może więcej. Często wraca późną nocą. Mam płytki sen i słyszę.

Nie mnie to nigdy nie obchodziło, nawet lepiej, że wychodzi i go nie ma. Nie podłazi i nie zaczepia, nie trąca, nie wykręca, nie pstryka w uszy, nie łapie za sutki.

Normalnie siedziałbym o tej porze z teściem i pił whisky. Ale chłopinę powaliła taka zmuła, że poszedł w kimę. Niech odpoczywa.

Magda z teściową i Iwoną oglądają jakiś badziew w telewizji, a ja mam czas dla siebie. Jak nigdy. Mogę do nich dołączyć, coś poczytać albo pooglądać na komórce.

Wyglądam przez okno. Niebo jest usiane gwiazdami jak plaża piaskiem. Uwielbiam to na głębokich wsiach.

Piękny wieczór na spacer.

Zakładam ukradkiem kurtkę, buty i wymykam się z domu. To plus tego miejsca. W mieście trzeba łązić w masce. Szlag by mnie trafił.

Staję pod gwiazdami i wdycham pyszne powietrze. Czuć, że idzie lato.

Zawsze miałem gdzieś, że Dyniak znika wieczorem. Założyłem bez dłuższego zastanowienia, że spotyka się ze swoimi głupkowatymi kumplami ze wsi albo z dziewczynami. Wyobrażam sobie teraz, jakiej muszą być urody, skoro się z nim zadają.

A przecież może być zupełnie inaczej. Może ma jakąś tajemnicę, jest jakimś zboczeńcem. Co, nie zdarza się?

Idę na wzgórze za domem. Pójdę grzbietem i dalej lasem.

Zajdę stajnię od tyłu.

Po tylu latach znam dobrze okolice. Pamiętam, jak Magda prowadziła mnie tędy pierwszy raz i opowiadała dzieciństwo.

Jestem ciemno ubrany, nie widać mnie w mroku, tylko gębę. Obserwuję stajnię ze wzgórza ukryty w świerkach. Jest prawie pełnia, całkiem jasno. Światło się pali w budynku, psy piłują mordy do Dyniastego, który kręci się w środku.

Chcę zejść ze wzgórza, zakraść się do stajni, ale widzę kogoś z lewej strony. Ktoś stoi na wjeździe i to nie jest Dyniak. To ktoś wyższy, szczuplejszy i ma ciemne włosy. Ubrany chyba w elegancki płaszcz. Kombinezony i szmaty robocze nie mają takich kołnierzy.

Kto to jest? Stoi na posesji, nie na drodze, jakby pilnował wjazdu.

Wymyślam głupotę, że eleganccy złodzieje kradną rolnikom sprzęty, widły i taczki. Nie wiem tylko, po co.

Pewnie, to ktoś do Dyniaka. Czeka na niego, aż skończy? Możliwe, że idą gdzieś razem i po to się Maciek kąpał. Ciuchy miał w stajni przygotowane? Może jest cichym wielbicielem baletu albo opery? Może gra na jakimś instrumencie w orkiestrze i trzyma to w tajemnicy? Grają zwierzakom w stajni ukradkiem.

Nie mogę zejść tędy, bo będę jak na dłoni i typ mnie zobaczy. Cofnę się za górę i

pójdę z boku do miejsca, gdzie stajnia mnie zasłoni. Rosną tam brzozy.

Chcę ruszyć, ale widzę ruch z lewej. Samochód z wyłączonymi światłami wjeżdża z drogi, mija tyła na wjeździe i podjeżdża pod stajnię.

Może zbierają się członkowie orkiestry? Wiedzą, że ryzykują i dlatego się czają, boją się kar i krytyki.

Wysiadają kierowca i pasażer, dwaj faceci, ubrani w podobne płaszcze, otwierają drzwi komuś z tyłu. Wychodzi kobieta i mężczyzna. To daleko, ale widzę, że ich stroje są proste, bez wyrzuceń. Chyba ubrani elegancko, oficjalnie.

To nie wygląda jak część składu orkiestry. Raczej zjeżdża się elita na nielegalne walki kogutów.

Wyglądają bardziej jak politycy albo agenci FBI.

Schodzę z boku między brzozy. Serce mi wali, kiedy jestem na otwartej przestrzeni. Tamten gościu na wjeździe mnie nie widzi, ale może być ich więcej. Wszystkiego się mogę spodziewać.

Czuję się jak dzieciak. Kiedyś zakradaliśmy się z kumplami w różne miejsca. Było ekscytująco. Teraz też jest. Może nie tak jak wtedy, gdy podglądaliśmy sąsiadkę, Andżelikę. Była dorosła, miała z osiemnaście lat. Któregoś wieczoru trafiliśmy ją po kąpieli zawiniętą w ręcznik. Coś tam robiła z buzią przed lustrem. Nie zasunęła zasłon i miała zapalone światło. Wiedziała, że ją widać z dworu, ale liczyła, że akurat nikogo tam nie ma, a niesforny ręcznik, z którym walczyła, niczego nie odkrywał. Jakże się myliła.

Czerwone mordy nas paliły. I w gaciach było niewygodnie.

Teraz tego nie ma. Także wtedy było fajniej.

Już jestem pod stajnią i mogę zajrzeć do środka przez zakurzone szyby.

To Dyniak?

Widzę od tyłu tyła w czarnym garniturze, blond włosy, postura Maćka, trzyma otwarte drzwi od kanciapy, wpuszcza tę parę, która przyjechała. Ochroniarze zostali w samochodzie.

Facet wchodzi za nimi i mogę zobaczyć jego profil.

To Dyniak! On ma muchę?! Nie podobny do siebie kompletnie. Bardzo poważny i uczesany.

– O ty, w ząbek – szepczę.

Cieżko uwierzyć w to, co widzę. Najwyraźniej celnie trafiłem wyobraźnią, że Dyniak udaje.

– Co tu się dzieje?

Po jaką pałę siedzą w tej zasyfiałej kanciapie?

Nic nie rozumiem, ale już wiem, jak wejść do środka. Wiem, w którym miejscu dostać się na strych.

Kiedy jestem w środku, schodzę na dół. Nikt mnie nie słyszy. Wszędzie siano,



można poruszać się cicho, niemal bezszelestnie. Wychylam się zza winkla. Wydaje mi się, że nikt nie stoi z przodu przy wrotach. Podchodzę do drzwi od kanciapy. Zbliżam ucho. Cisza.

Nie mogę uwierzyć, w to, co zobaczyłem. Tu jest przecież taki syf, że w normalnych ciuchach strach wejść. Wszędzie wiszą pajęczyny, wszystko brudne, betonowa podłoga, wybialkowane ściany, drewniane drzwi, poustawiane wszędzie albo wiszące graty. Nic nie jest czyste. Gruby kurz lata w powietrzu beztrąsko. Mieszkają tu myszy i szczury.

A tu takie rzeczy! Co on tu robi?

A co mi tam. Obrazi się? Najwyżej będzie niezręcznie. Muszę wiedzieć, co się dzieje.

Naciskam na klamkę i otwieram drzwi, a tam graciarnia i syf, jak zawsze. I nikogo nie ma, pali się tylko światło. Pomieszczenie wielkości dużego pokoju w bloku, ale zagrożone kompletnie.

Nie mogli przecież zniknąć.

Rozglądam się. Okno częściowo zasłaniają żaluzje, które wyglądają, jak zabrane z gruzów zawalonego domu. Ni to ozdoba, ni ochrona. Okno i tak jest siwe jak dym i nic przez nie nie widać. Z prawej strony w rogu stoi koza. Musiała kiedyś buchać ogniem, bo ściany i sufit w rogu są czarne od sadzy. Pewnie siedzieli tu sobie, chlali i prawie spalili stajnię. Podobno mieszkał tu kiedyś bezdomny. Pracował w zamian za ciepły kąt i żarcie.

Z boku stoi krzesło. Ściągam z niego jakiś badziew i siadam.

– Nie wierzę w bajki.

Dyniasty zresztą też. Nie mogli przepaść bez śladu. Musieli przejść gdzieś dalej.

– Może jakaś schizofrenia mi się zaczyna?

Oglądam podłogę. Nie ma żadnego włazu, nie dałoby się ukryć zejścia, a w żadną inną stronę nie mogli pójść.

Wyobrażam sobie tajemne wejście, jak rozsuwa się cały ten bajzel na stole i pod nim i odsłania zejście do podziemi. Potem zamyka się z powrotem i cały śmietnik wraca na swoje miejsce.

Coś sobie uzmysławiam.

– Musieli wyjść, kiedy wchodziłem na strych.

Tylko po co tu w ogóle wchodzili? Dyniasty czymś handluje? I po co w takim stroju? Jakiś luksusowy towar?

Z lewej, przy włączniku światła wiszą rzemienie, strzemiona, homonta, uzdy i inne końskie gadzety. Na prostopadłej ścianie stoi stary regał, na nim pokryty kurzem telewizor, obok szafka, wiszą gumowe węże.

Patrzę na regał. Żywcem wyciągnięty ze stoczniowej przebieralni albo z męskiej szatni w klubie sportowym lat siedemdziesiątych.

Stoi bardzo blisko ściany, jak przyklejony.

– Na gładko.

Ten kawałek ściany za regałem jest otynkowany i wygładzony. Nie rozumiem, po co? Cała kanciapa jest z gołej cegły.

Przed regałem nic nie leży, a tu przecież wszędzie coś leży. Dla czegoś ta przestrzeń jest przeznaczona.

– Żeby się drzwi mogły otworzyć.

Pociągam za boczną ściankę regału, słyszę kliknięcie i tynk odchodzi od cegieł razem z regałem i starym telewizorem na nim.

Poczułem się jak Indiana Jones.

– Ja cię lulam.

Zamiast końskich boksów, które powinny być za tą ścianą, jest ukryte pomieszczenie.

– Z zewnątrz nic nie widać – szepczę.

Pomieszczenie jest wąskie, bo to w zasadzie klatka schodowa, mieści tylko stalowy właz w kształcie elipsy. Jest otwarty. Na dole pali się światło.

W głowie kotłują się myśli, przewijają filmy, James Bond i ukryta kwatery albo laboratorium Dextera.

Wyobrażam sobie, że cały teren stajni dokoła to tajna baza wojskowa. Już widzę, jak rozsuwa się wzgórze łąna i wylatuje rakieta dalekiego zasięgu.

Schodzę. Jakaś ukryta piwnica. Całkiem nowa. Ściany z szarego betonu, widać ślad po szalunku. Sporo rur i światła. Słysząc brzęczenie wentylacji, burczenie silnika czy alternatora.

Idę korytarzem, słyszę głos podobny do Dyniaka. Słucham chwilę.

Kurde, to on, tylko że gada po chińsku!

Idę. Maciek milknie, bo moje gumki chrzęszczą błotem i wydają dźwięk jak przepychaczka do kibla, są trochę za duże.

Dochodzę do pomieszczenia skąd chwilę temu dobiegał głos, i widzę małą salę konferencyjną, a w niej kobietę i faceta przy owalnym stole, a Maciek stoi jak coach przy prezentacji.

Wszyscy mierzą do mnie z pistoletów. Nie czuję się nawet zaskoczony. Za to wytrzeszczam gały na Dyniaka. Ubrany jak 007, ma na sobie smoking i muchę. Mówi po chińsku! I ten wyraz twarzy bez cienia tępoty. Jestem zszokowany!

W końcu Dyniak się odzywa:

– Grzechu. Nie mogłeś tego widzieć. Ja dopiero zaczynam.

Strzela.